

Wieczorna mgła

- Ja na pana miejscu nie nocowałabym w tej chacie, ani w żadnej innej nad jeziorem... To nie jest dobre miejsce, zwłaszcza w okresie wakacji - sprzedawczyni uśmiechnęła się z wyraźną życzliwością.
- Dlaczego? - spytałem wertując magazyn.
- Różne rzeczy ludzie mówią... Nie chcę pana straszyć... Tam działy się dziwne rzeczy...
- Wilkołak kogoś pokąsał? Czy wiedźma rzuciła zaklęcie na harcerki?
- Skąd pan wie?
- Co, o wiedźmie czy wilkołaku?
- O rozszarpanym księdzu!
- No proszę! Wilkołak czy demon?
- Niech pan nie żartuje, znaleziono tylko tułów... Też postrzępiony... Makabra
- W chacie?
- Nie, nad jeziorem ale blisko chaty, bardzo blisko...
- Może jakieś zwierzęta... Słyszałem, że spotykano tu wilki...
- Wilki proszę pana nie mają 10 centymetrowych pazurów.
- No to zostaje wilkołak albo zboczeniec. Kiedy to było?
- Latem, rok temu! - powiedziała z wyraźną satysfakcją. Powinienem się co najmniej zsikać ze strachu.
- A, latem. To pewnie strzyga! - zażartowałem.
- A jaka tam strzyga, co pan w bajki wierzy?
- A wilkołak to nie bajka?
- Ja nie powiedziałam, że to wilkołak, znaleziono po prostu ciało, w strasznym stanie...
- Ale sugerowała pani, że w lecie może tu być niebezpiecznie?
- Bo może! - odparła jadowicie.

Zapłaciłem i wyszedłem. Kobieta w sklepie zapomniała dodać o jeszcze kilku dziwnych zdarzeniach w tej okolicy, w ciągu zaledwie 3 lat. Najpierw śmierć młodej nauczycielki zagryzionej we własnym łóżku. Potem, faktycznie, coś napadło na harcerzy, ponoć druhowi odgryzło rękę ale najbardziej przerażająca rzecz miała miejsce po drugiej stronie jeziora. Cztero osobowa rodzina została dosłownie zjedzona w swoim domu. Wśród ciał nie było tylko pięcioletniej Katy. Dziecko odnaleziono po kilku dniach w lesie, wyziębnęte i odwodnione. Podobno do dziś nie wymówiła ani słowa.

Droga niemal idealnie prosta biegła przez sosnowy las, cudowny o tej porze roku. Wysmukłe, wysokie na wiele metrów drzewa, pod nimi trawa i mech. Wszystko to urozmaicone niewielkimi wzniesieniami i zacienionymi jarami, wokół których zbierały się ciemne i ponure drzewa liściaste. Na pewno wrócę tu jesienią, na grzyby, może porobię zdjęcia. Mówiąc szczerze uwielbiam to miejsce, wymarzone na ciche i spokojne wakacje na łonie natury, wśród lasów i jezior. Nie dotarły tu jeszcze hotele, ośrodki wypoczynkowe, sprzedawcy hot dogów i dyskoteki. Na przestrzeni wielu kilometrów, żyje zaledwie kilkaset osób, głównie rolników, rybaków. Do tego kilku outsiderów, artystów, pisarzy czy dziwaków.

Wynająłem chatę, tuż nad jeziorem, wtuloną w ścianę lasu ze wspaniałym gankiem, na którym miałem zamiar spędzać większość czasu. Makabryczne historie były dodatkowym wabikiem tego miejsca, lubię odrobinę mroku, zagadki. Dodają uroku, szczypty niepewności, jeśli w ogóle można mówić o uroku w odniesieniu do pożartej rodziny.

Przez te rozmyślania o mały włos nie potrafiłem dziewczyny, która bezmyślnie szła środkiem drogi. Odskoczyła

w ostatniej chwili i teraz stała już koło samochodu i patrzyła na mnie z mieszaniną pogardy i nienawiści.

- Za takie coś powinni zabierać prawo jazdy, jak w ogóle radzisz sobie z samochodem, jak ty odróżniasz tył i przód, idioto jeden? - zapytał grzecznie dziewczętko.

- Po znaczku na masce! - odparłem rezolutnie - pani też pewnie ma kłopoty z odróżnianiem, a z patrzeniem na pewno, szła pani środkiem drogi, mogłem panią rozjechać.

- Baran!

Całkiem ładna dziewczyna, faktycznie byłoby trochę szkoda, nie wspominając o samochodzie. Mimo okoliczności uśmiechnąłem się do niej i powiedziałem grzecznie; przepraszam.

- Bardzo pan jest miły, a gdyby mnie pan jednak przejechał to też by pan przeprosił, czy może ukradł zegarek?

- Nie mam zwyczaju rozmawiać z umarłymi. - postanowiłem się z nią troszeczkę podroczyć.

- To dlaczego pan rozmawia? - spojrzała mi głęboko w oczy.

Kolejna nawiedzona po babie ze sklepu.

- Jak dotąd pani żyje. - bardziej spytałem niż stwierdziłem.

- Tylko dzięki refleksowi. Na przyszłość proszę patrzeć przed siebie. I nie żartować w ten sposób zwłaszcza w tej okolicy.

- A, mówi pani o tym księdzu?

- O księdzu też. Czego pan tu w ogóle szuka, od kilku lat nikt tu nie przyjeżdża. A pan co kolejny poszukiwacz sensacji.

- Tak, jestem dziennikarzem i mam zamiar rozwiązać wszystkie lokalne zagadki - odparłem, choć w planach miałem napisanie książki. Typowej powieści o zmęczonym wielkomiejskim życiem facecie, który trafia na prowincję i

tam wbrew sobie rozwiązuje makabryczne zagadki z wilkołakiem w tle.

- To proszę uważać. Zło czai się wszędzie.

- Tak widziałem ten film, fantastyczny, jeszcze lepszy niż „Atak toksycznego mutantu z bagien”

- Bardzo śmieszne. Proszę uważać aby nie wystąpił pan w roli głównej.

Miła dziewczyna, bystra, spodobała mi się, postanowiłem przejść do konwersacji.

- Jeszcze raz panią przepraszam, to moja wina, zagapiłem się, mam nadzieję, że nic pani nie jest.

- Nic mi nie jest, skąd ta troska, do widzenia - to mówiąc skręciła w ledwo widoczną ścieżkę wśród zarośli i zniknęła w zieleni.

Napaliłem w kominku, mimo pełni lata od wody ciągnęło chłodem wilgocią. Za oknem zapadała czerń. Całkowicie pozbawiona kształtów a nawet jakichkolwiek odgłosów, jakby ktoś nałożył na wszystko pokrowiec. Poczułem się nieco lepiej gdy drwa na kominku zajęły się jasnym płomieniem. Dla mieszczucha całkowita ciemność i cisza są równie obce jak atmosfera na marsie. W mieście nigdy nie jest ciemno, zawsze słychać jakiś przytłumiony szum, tu otaczała mnie pustka.

Wygodny fotel, szklanka whiskey, i ciepło kominka. Powoli zapadałem w drzemkę.

Ostatnie polano zgasło cienką stróżką dymu, tylko żar tlił się nieśpiesznie dając blado czerwoną poświatę i cichutko pękając. W te dźwięki wmieszał się ledwo słyszalny dogłos, dochodzący wyraźnie z zewnątrz chaty. Jakby cos delikatnie otarło się o ścianę i zamarło spłoszone własna

niezdarnością. Deska na ganku cicho zatrzeszczała, jednak w otaczającej ciszy trzask był wyraźny jak ukucie igły. Kominek przygasał coraz bardziej zakrywając pokój milczącą zasłoną ciszy i ciemności. Coś zsunęło się z ganku bardziej wyczuwalnie niż bezgłośnie.

Stary człowiek, wpółdrzemiac bujał się na fotelu, obok leżały wędki ale nie miał ochoty na połów. Mężczyzna był zmęczony. W nocy prawie nie spał, coś kręciło się koło jego domu, i był pewien, że nie był to kojot. Kojoty nie zostawiają śladów szponów na drzwiach. Na kolanach trzymał starą myśliwską strzelbę. Był zaniepokojony, mieszkał tu co prawda od lat i słyszał o tych wszystkich okropieństwach ale zawsze działo się to gdzieś tam, w oddali. Dziś naprawdę się bał.

Moja niedoszła ofiara, stała w drzwiach. Oczy miała podkrażone, trzęsła się, może z zimna poranka, może ze strachu, łapała oddech.

- Przepraszam, że tak z rana, widziałam wczoraj światło w chatce, tak myślałam, że to pan, tu zamieszkał, coś się stało, czy ma pan telefon? - dziewczyna była jednak zdenerwowana, ręce jej drżały.

- Proszę wejść, co się stało, proszę.

- Coś zabiło mojego psa! Mam dom letniskowy, tu niedaleko, na cyplu, mieszkam z moim tatą, no i z Bobim, naszym goldenem. I jak rano wyszłam z domu, to znalazłam Bobiego.

Usiadła na brzegu fotela i obiema rękoma chwyciła kubek z herbata, który jej podałem, piła przełykając łyż.

- Leżał za domem, miał rozszarpany brzuch, wyglądał jakby walczył, był cały pokaleczony, jeszcze się trzęsę. A u nas nie ma telefonu, z resztą już mu nie pomogę.

- Słyszała pani coś w nocy? Jakieś odgłosy, cokolwiek?
- Tak, coś łąziło po ganku i węszyło pod drzwiami ale myślałam, że to Bobi, nie zwróciłam na to uwagi. Dopiero jak szłam spać to zorientowałam się, że on jest cały czas w domu, ale pomyślałam, że to może kojot albo lis. Potem wypuściłam pas na dwór i poszłam do łóżka.
- A czy pies nie zachowywał się dziwnie?
- Jak wychodził to się zjeżył ale zaraz pobiegł na podwórko, węszył ale on zawsze węszy. W sumie normalnie, w nocy niczego nie słyszałam.
- To dziwne, gdyby Bobi walczył, to słychać by było warczenie, szczekanie, jakieś piski...
- To co, tak mocno spałam?
- Możliwe, a ojciec?
- Tata jest po wypadku, ma słabe zdrowie, bierze proszki na sen, mieliśmy tu odpocząć... Boże Bobi!
Przytulilem ją, a ona szlochała wtulona w moje ramię.
- Może pani pies zginął w innym miejscu, a po śmierci został przywleczony?
- A po co coś miałoby wlec martwego psa, nie wiem, to bez sensu.
- Albo został zabity bardzo szybko, tak szybko, że odbyło się to w całkowitej ciszy?
- Myśli pan, że coś na niego napadło?
- Nie wiem - pogładziłem ją po włosach, przyjemnie pachniały, a jej drobne ciało było cudownie ciepłe, wyraźnie czułem bicie jej serca.

Poszliśmy obejrzeć denata. Wezwaliśmy też policję ale powiedzieli, że do psa nie przyjadą i zwalili wszystko na wilka, podobno grasował w okolicy jakiś wyjątkowo wielki basior, zabójca psów i owiec.

Ojciec dziewczyny stał pochylony nad Bobim. Faktycznie, pies miał rozerwany brzuch i skręcony kark, do tego na szyi ślady, chyba, zębów albo pazurów.

- To mi nie wygląda na wilki - spod czapki patrzyły na mnie bystre oczy. Spodziewałem się kogoś na wózku inwalidzkim, tymczasem stał przede mną smukły mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w strój myśliwski, z wielkim nożem u pasa.

- Frank Malzew, ojciec Kitty - powiedział wyciągając dłoń.

- Witam Witold Seremetew, jestem sąsiadem.

- A pan niczego niepokojącego nie zauważył - spytał.

- Nie, poszedłem wcześniej spać...

- Proszę spojrzeć na te ślady na pysku, głowę dam, że to pazury, rany są poszarpane...

- Może puma - spytałem

- Musiałyby być wielkości cielaka, o tu - wskazał na szyję - jedno uderzenie prawie urwało mu głowę. Siła ataku wskazywałaby raczej na niedźwiedzia. Ale po pierwsze nie ma tu żadnych śladów, po drugie tu nie ma niedźwiedzi. Kitty zaprosz pana do nas, a ja pochowam psa.

Weszliśmy do jasnego, czystego pokoju, pod dużym oknem stał stół, w wazonie świeże kwiaty, na półkach kilka pucharów i rodzinnych fotografii, Kitty zapaliła gazową kuchenkę i ustawiła czajnik.

- Jeszcze raz przepraszam za tę sytuację na drodze... - zacząłem.

- Już zapomniałam, przepraszam za tego barana - uśmiechnęła się - to ja się zamyśliłam, proszę niech pan siada.

- Może pomogę pani ojcu pochować psa?

- Nie, nie trzeba, poradzi sobie, z cukrem czy bez?

- Z cukrem, mówiła pani, że jest schorowany, wyobrażałem go sobie inaczej...

- Pewnie pomyślał pan o sparaliżowanym starcu? Tata, jakiś czas temu miał wypadek, jeździ w nascar, to znaczy teraz to tylko hobbystycznie ale kiedyś był mistrzem.

- Faktycznie, Malzew, no tak, nie skojarzyłem.

- Rok temu miał wypadek, w sumie nic mu się nie stało tylko od tamtego czasu nie może prowadzić samochodu i ma potworne bóle głowy, mam nadzieję, że dojdzie do siebie, on bez wyścigów nie przeżyje.

- Na pewno, wygląda na bardzo silnego - wolałbym nie dostać się w jego łapy, dlatego od razu porzuciłem myśl o uwiedzeniu i porzuceniu Kitty, z resztą coraz bardziej mi się podobała.

- A pan, jest dziennikarzem i naprawdę chce się zająć tymi sprawami. Przez te morderstwa wymiotło wszystkich turystów...

- Raczej nie, na co dzień mam dość ciekawe życie, już samo dotarcie do pracy w Nowym Jorku, jest pełną adrenaliną przygodą.

- Czyli będzie pan łowił ryby?

- Zdecydowanie nie, wie pani, w dzieciństwie ugryzła mnie raz ryba, jakiś wyjątkowo agresywny karp...

Zaśmiała się i spojrzała na mnie niemal ciepło, a ja powoli zaczynałem się rozplýwać.

Wszedł jej ojciec.

- Zakopałem go koło orzecha. A panu co się stało ma pan zadrapanie na czole.

- Nie wiem, nie zwróciłem uwagi... Może wczoraj jak wnosiłem walizki... Duże?

- Nie, małe kuku, Kitti przynieś spirytusu, lepiej to oczyścić.

Wobec jego tonu nie śmiałem protestować, choć myśl o spirytusie spowodowała, że mocniej spałem pośladki. Z tym facetem nie ma żartów.

- No i co pan o tym sądzi, dziwna sprawa - spytał.

- Policja twierdzi, że to może być jednak wilk.

- Niech pan nie żartuje, wychowałem się tu, wilki gryzą, duszą. Rozszarpują dopiero podczas jedzenia. To nie wilk.

- Sądzi pan, że powinniśmy być ostrożni?

- Z pewnością, dopóki nie dowiemy się co to za zwierzę, może lew uciekł z cyrku? Nie wiem...

- Tam też ofiary były rozszarpywane... - szepnęła Kitty.

Ojciec nerwowo spojrział na dziewczynę.

- No tak - zaczął niezbyt pewnie - ale tam ginęli ludzie, byli pożerani, a tu coś po prostu zabiło psa.

- Tak myślisz - Kitty nie dawała się uspokoić.

- Jestem pewien, nie ma dla nas zagrożenia, prawda panie Witoldzie?

- Oczywiście, a nawet jeśli jakieś jest to obsmaruję je w mojej gazecie, tego boi się nawet sam Lucyfer.

Wychodząc, ojciec Kitty odprowadził mnie do furtki, przy pożegnaniu przytrzymał moją dłoń..

- Proszę jednak uważać, nie chciałem niepokoić córki, ale faktycznie, może coś nam zagrażać, gdyby coś się działo... Ma pan broń?

- Nie.

- Nie chciałbym siać paniki. Ale sam pan widział psa... Zastanawiam się czy nie wrócić do miasta, do widzenia.

Przez kolejnych kilkanaście dni nic szczególnego się nie działo. Trochę pisałem, zabierałem Kitty na spacer, piłem whiskey z jej ojcem, rozmawialiśmy.

Z czasem nasze spacery stawały się coraz dłuższe, praktycznie spędzaliśmy razem cały wolny czas. Pływaliśmy łódką, zbieraliśmy jagody, czytaliśmy na głos poezję na tarasie domu jej ojca. Byłem pewien, kocham ją, chyba z wzajemnością...

Dzięki temu zapomnieliśmy o groźnym cieniu, który gdzieś z daleka, gdzieś na linii drzew majaczył w zapadającym zmroku.

Wydawało się, że życie nad jeziorem wróciło do swojej sielskiej, powolnej normy. Dopiero wizyta szeryfa zburzyła nasz spokój. Postawny czterdziestoletni mężczyzna, przyjechał policyjnym pickupem. Podał mi spocona dłoń i od razu przeszedł do rzeczy.

- Czy w ciągu ostatnich dni zauważył pan coś niepokojącego?

- Pies sąsiadów został rozszarpany, zgłaszałem to.

- Możliwe, zadusił go wilk?

- Rozszarpało go coś...

- A skąd pewność, że nie wilk?

- Tak twierdzi sąsiad pan Malzew.

- Wiem, już z nim rozmawiałem... Widział pan tego psa?

- Tak, wyglądał makabrycznie.

- Tak jakby napadło go stado tygrysów?

- Mniej więcej, tygrysy chyba nie żyją w stadach?

- A co za różnica. Wie pan, tu w okolicy działy się różne rzeczy...

- Słyszałem o niewyjaśnionych morderstwach.

- Właśnie. Jednym z wątków śledztwa jest atak dzikich zwierząt... Oczywiście czysto teoretycznie, ale tam ofiary też były rozszarpywane...

- Czy coś się stało?

Policja nie przyjeżdża bez wyraźnej przyczyny. A ten oficer mimo, że wyglądał na twardego człowieka, był czymś wyraźnie przejęty.

- Znowu zaatakował.

- Kto, znacie personalia sprawcy?

- Tak naprawdę nic nie wiemy. Nie wiemy czy to zwierzęta czy ludzie, jeden czy kilku, czy może bestia z piekła. Moi policjanci mówią, że to wilkołak, sam prawie w to uwierzyłem. Przez rok był spokój, a tu teraz to...

- Co się stało?

- Coś zjadło dwóch wędkarzy, dosłownie. Zostało trochę ochłapów i głowa jednego z nich. Spali w namiocie nad brzegiem jeziora. Prawdopodobnie zostali zaatakowani tuż przed świtem... Czyli niczego po za psem pan nie widział?

- Niestety nie mogę pomóc. Jak pan sądzi czy coś nam tu grozi? Ostatnio było tak spokojnie...

- Nie wiem, ale proszę zamykać drzwi i okna na noc, tak na wszelki wypadek.

Zmierzchało, znad jeziora uniosła się lekka mgła, wszystko zamarło w wieczornym oczekiwaniu nocy. Starszy człowiek zebrał swoje wędkę z pomostu i powoli ruszył w stronę niedalekiego domu. Szedł ścieżką wśród drzew. Ciszę zakłócał tylko jego świszczący starczy oddech i szuranie za dużych gumiaków po ściółce. Złapał kilka ryb i już cieszył się na pyszną kolację. Nagle jakiś hałas, drobny trzask pękającej gałązki zwrócił jego uwagę, odwrócił się ale za sobą dostrzegł tylko niknące w ciemności nieme drzewa. Ruszył znowu powoli, tym razem uważnie nasłuchując, szedł bardzo ostrożnie. W pozorny spokój lasu wdało się coś złowrogiego i powoli zaczynało osaczać staruszkę. Czuł

bardziej niż widział czyjaś obecność, czuł na sobie wzrok, niemal palący skórę.

Był poważnie zaniepokojony, zwłaszcza, że z równowagi wyprowadził go szeryf swoją poranną wizytą i informacją o kolejnej zbrodni. Zaśmiał się nawet nerwowo, to nie możliwe żeby miał być kolejną ofiarą, nie on.

Z rozmyślań wyrwał go przeciągły skowyt, którego źródła nie można było określić. Wydobywał się zewsząd, otaczał jak strach, serce starca zaczęło bić mocniej. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Wokół milczał złowrogi las. Dziadek nagle ruszył, biegł w stronę domu, mając nadzieję, że drewniane ściany obronią go przed złowrogą, czającą się w mroku siłą. Wpadł na ganek, jednym skokiem dopadł drzwi, drugim ściany, z której zdjął strzelbę. Odwrócił się, za nim, w drzwiach stało potężne zwierzę wpatrzone weń złowrogo. Spod uniesionych warg świeciły białe, przerażająco długie kły. Padł strzał, strzelba wymusnęła się z ręk starca. Usłyszał tylko bolesny skowyt. Potem stracił przytomność.

Samochód sunął leniwie po nagrzanym letnim słońcem drodze. Obok, siedziała Kitty, roześmiana i roztańczona. Jak mała dziewczynka, wychylała się przez okno, machała do przejeżdżających samochodów, jej ojciec drzemał na tylnym siedzeniu.

Wszystkim zrobiło się lżej, kiedy wyjechaliśmy z mrocznych lasów okalających jezioro.

Zwłaszcza, że kula wystrzelona przez obłąkanego starca, poharatała mi ramię. Dziadka przewieziono do szpitala dla psychicznie chorych, bełkotał coś o wilkołaku i kłatwie... Prawdopodobnie atmosfera zagrożenia nadwyrężyła mu nerwy. Chwyciłem Kitty za rękę, przyłożyłem do policzka.

Ł.S.

W-wa 2010